Ewa Kołacz. Impresje.

> Ewa Kołacz (Eva Kolacz) prezentuje wszechświat jako proces, a malarstwo jako nieustająco przekształcający się świat, który będąc stałym, jednocześnie się przeobraża. (John K. Grande)

Ewa Kołacz – kanadyjska poetka i malarka



Ewa Kołacz

Spacer

Każdy z nas żyje na swej bezludnej wyspie

która opływa pospiesznie życie.

Wyznaczamy na niej granice

własnymi myślami.

Wielkość tej wyspy zależy na szczęście

głównie od wyobraźni.

Obwarowani przyzwyczajeniami

jakże niechętnie udzielamy gościny

i jeśli przy kimś zapomnimy się na chwilę,

jeśli nocą nie potrafimy obyć się bez niego

tym skwapliwiej zamykamy się w sobie.

Z rana triumfy świeci nasze ego.

Wieczni uciekinierzy. Czasem uciekinierzy z wyboru

wciąż z pytaniem jak przeżyć ambitniej i mądrzej

zapominamy że istnieje zwykłe ludzkie życie.

Samotność głuszy kilka rozpoczętych książek.

Znów słowa, daruj. Tak lubię późny czerwiec

z jego poranną mgłą, z zielonym cieniem akacji

podaj rękę i chodźmy już na spacer.

Czas wakacji.



Eva Kolacz, Fantasy Island.

Jeszcze jedna noc

> Noc. Krótka, prawie bez księżyca
>
> za oknem domy z wolna gasną
>
> i tramwaj cienko śpiewa, nie mogę zasnąć.
>
>
>
> Wciąż brak mi tej pięknej umiejętności

uchodzenia myślom

więc gram z nimi w wyścigi

lecz gdy zamknę oczy

już są przy mnie

i sen się gładko toczy po prześcieradle

i ginie.

Myśli. Jedne tak ulotne, że dotknąć ich nie sposób.

Są jak motyle albo ptaki,

budzą sny po których chodzę tak lekko

jak z balonikiem w ręku dziecko.

Inne myśli najczęściej przychodzą nocą,

znają każdą ścieżkę ciała, każdą szczelinę,

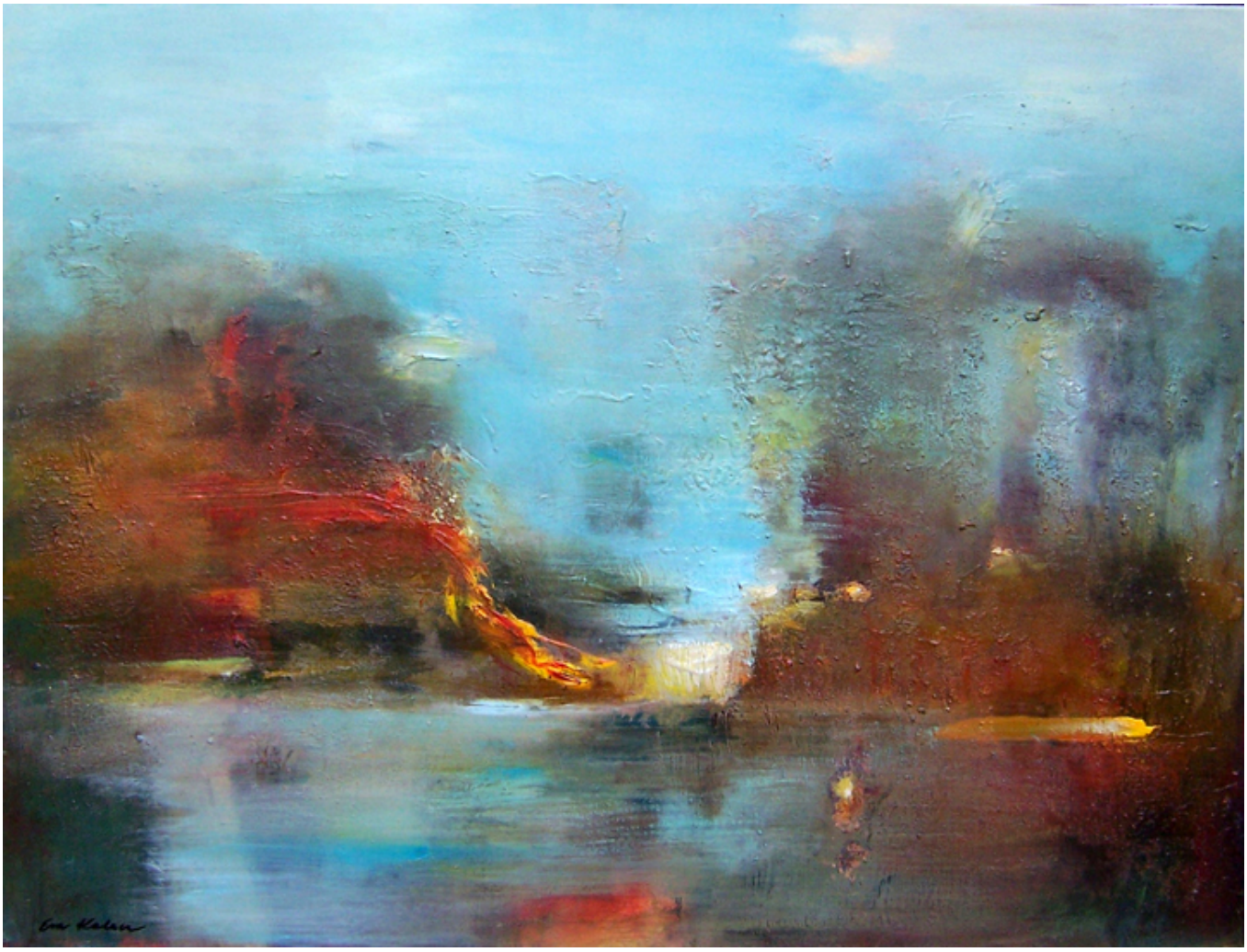
gdybym mogła, gdybym umiała pozbyć się ich

lecz żyją już swym własnym życiem

i milkną dopiero gdy świt

wchodzi do pokoju ze światłem.

Zapalam lampę.



Eva Kolacz, Peaceful – Moments.

Muza i Poeta

> Myślisz, że to ładnie kręcić jego myślą,
>
> wchodzić jak do siebie
>
> w czerwonych obcasach?
>
> Śmieją się jej usta ze zwycięstwa

czary w nim uwięzione – zachłanna kobieto.

On – zanurzony w codzienności

jak w małej uliczce z której nie ma wyjścia

uczy się teraz mieszkać we wszystkich

zakątkach świata

i z pewnością będzie o nim głośno.

Wczoraj bezosobowy i nieistotny

z pozycji podpatrującego świat,

dziś właściciel długonogiej muzy.



Eva Kolacz, Flow of Light.

Sentymentalnie

> Dopiero tutaj
>
> we mnie dziś nie ma tych chmur.
>
> I śmieję się na tyle długo
>
> by zapamiętać śmiech.

Dlaczego nie zapachem dziewanny

mam być we wrześniowym poranku

wstawionym w polski pejzaż.

Sentymentalnie oh zbyt sentymentalnie

gdy codzienność wjeżdża w internetowy wszechświat

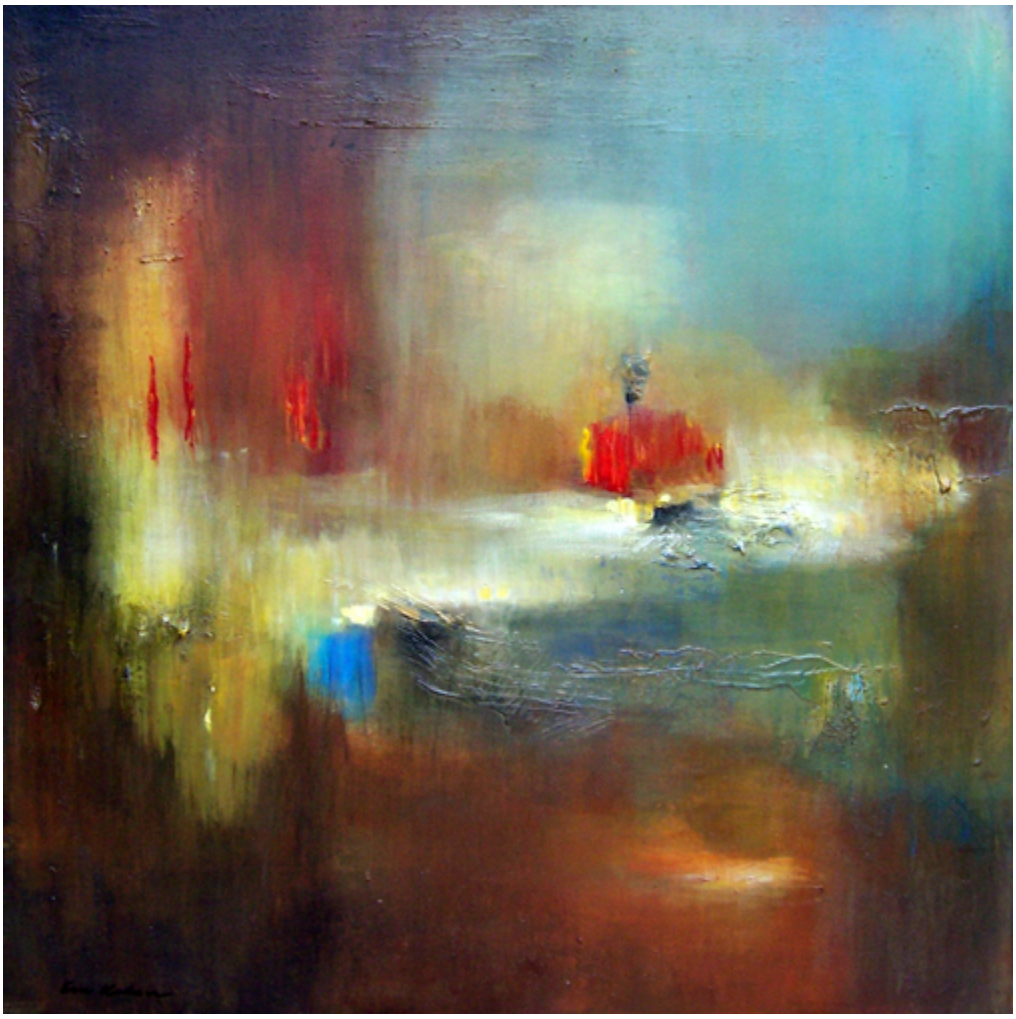
łukiem triumfalnym.

Clikclik – to my nowi władcy świata.

A mnie lepiej

tam gdzie dotyk ciepłej dłoni

i gdzie droga, która nie zna wszystkich odpowiedzi.



Eva Kolacz, Follow Thepath.

Eva Kolacz na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/ewa-kolacz-fazy-swiatla/

Konwikt



Florian Śmieja

Nazwa “Konwikt biskupi” dzisiaj znalazłaby niewiele zrozumienia, a jeszcze mniej entuzjazmu. Inaczej było w 1935 roku, kiedy dziesięcioletni smyk wyczytał ją w tygodniku “Gość Niedzielny”, w małej przygranicznej miejscowości na Górnym Śląsku. Budynek instytucji, pokoje, a także fotografia dystyngowanego dyrektora, księdza prefekta, zrobiły wielkie

wrażenie na malcu, natychmiast wywołały pragnienie, by się do tej bursy dostać. Nie bacząc na sytuację, odruchowo napisał list do dyrektora, dodając nieporadnym pismem skreślonemu podaniu autorytetu ojcowskiego stempla “Piotr Śmieja, Cegielnia Parowa, Kończyce”.

Petycja nie została zignorowana, coś tknęło adresata, by odpowiedzieć na apel śmiałego chłopca. Szef internatu w Tarnowskich Górach radził, że skoro petent jest dopiero w piątej klasie szkoły powszechnej, to potrzebuje zaliczyć szóstą. Dodał, że na miejscu cieszyła się dobrą sławą szkoła, tzw. Ćwiczeniówka, do której mógł się zapisać do szóstej klasy, a potem zdawać egzamin do gimnazjum.

Ojciec, widocznie na naleganie matki, zgodził się wysłać małolata do obcego miasta i do innego środowiska z dala od rodzinnego domu. Sąsiadka pomogła usypać pierzynkę i autobusem z matką pojechałem z tobołkami do Tarnowskich Gór. Tak zaczęła się moja trzyletnia przygoda w internacie.

Przy ulicy Powstańców stał duży budynek z czerwonej cegły, dwupiętrowy z kaplicą. To w nim, w dwu dużych salach urządzono sypialnie dla starszych i młodszych uczniów, w dużym pomieszczeniu, zwanym studium, stało kilkadziesiąt pulpitów do odrabiania lekcji po południu i wieczorem. W refektarzu podawano posiłki, które przygotowywały cztery

zakonnice także opiekujące się całym gospodarstwem domowym. W piwnicy stały szafki z butami, tam przewidziane było po kolacji powszechne czyszczenie butów.



Konwikt Biskupi w Tarnowskich Górach, fot. wikipedia.

Rozpiętość wieku alumnów wahała się od lat jedenastu, jak w moim wypadku, po mężczyzn dwudziestoletnich i nieco starszych, repetujących egzaminy maturalne. Obok żółtodzioba z zabitej wioski, były też niebieskie ptaki, co to z niejednego pieca chleb jadły, niektórzy mieli ponoć wilcze bilety i w małej mieścinie śląskiej próbowali szczęścia, by sforsować tę konieczną barierę, która nie pozwalała im pójść na studia. Sądzę, że

komplet internatu składał się z czterdziestu kilku osób głównie z terenu Górnego Śląska z garstką przyjezdnych ze stron dalszych, nawet z Francji. Roczna opłata za mieszkanie i wyżywienie wynosiła 600 złotych, a pełne czesne w gimnazjum kosztowało ojca 220 złotych, bo jako osoba prywatna nie miał żadnej zniżki.

Współżycie w takiej grupie było pamiętnym doświadczeniem. Edukowało dosłownie i powodowało szlifowanie jednostek w ciągłym kontakcie z innymi. Starsi koledzy służyli radą i chętnie popisywali się posiadaniem większej wiedzy. Jeden z nich nakłonił mnie do nabycia jego starego podręcznika *"Disce puer latine",* potrzebnego mi dopiero od drugiego półrocza pierwszej klasy gimnazjalnej, lecz za to nauczył mnie tyle łaciny, że kiedy zaczęły się jej lekcje, wysforowałem się na czoło klasy i już tego miejsca nikomu nie oddałem. Łacinnik, "Kalwas", surowy i postrach uczniów był ze mnie bardzo dumny, nazywając zazwyczaj starszych studentów, końmi Bożymi, kazał im ze mnie brać przykład. Po dziś dzień pamiętam, kiedy go sromotnie zawiodłem w czasie wizytacji dyrektorskiej, i nie potrafiłem odpowiedzieć na jego proste pytanie.

Wtedy też gwarę śląską, którą się wyłącznie posługiwałem w Kończycach, zaczęła zastępować polszczyzna literacka. Prawdopodobnie dopilnowali tego nauczyciele, których z kurtuazji nazywaliśmy profesorami. I tak polonista Huza, podkreślał wyrażenia w moich wypracowaniach, kładąc na

marginesie uwagi “gwara”. Musiałem też w rozmowach z kolegami w klasie używać polszczyzny. W szóstej klasie tzw. Ćwiczeniówce zaprzyjaźniłem się z Halinką, córką majora 11 pułku piechoty stacjonującego w Tarnowskich Górach. Po jego nagłej śmierci często bywałem w domu Halinki, który był naprzeciwko konwiktu. Tam nie mówiono gwarą.

Będąc beniaminkiem czeladki w wieku dorastania i konfliktów z autorytetami, byłem wystawiony na sytuacje trudne i nie jednoznaczne. Ksiądz prefekt miał problemy dyscyplinarne z krnąbrnymi i niesfornymi studentami. Niekiedy do rozprawienia się z nimi posługiwał się najmłodszymi wychowankami korzystając z ich naiwnej prostolinijności. Pamiętam, jak pewnego razu po swojej perorze przeciwko paleniu tytoniu, zauważył czyjąś rękę z papierosem grożącą mu z tyłu.

Nie potrafiąc zidentyfikować sprawcy, wzywał nas, najmłodszych, potem na rozmowy i uzyskał potwierdzenie swoich przypuszczeń. Winny student został wydalony. Do mojego pamiętnika oprócz kolegów wpisywali się niektórzy z naszej starszyzny. Zapewne nawiązując do epizodu wyżej opisanego, autor zacytował wierszyk, którego w całości nie potrafię już przytoczyć. Chodziło o prawdę i jej chwalebne cechy.

> …Prawdą Bóg sam.
>
> Za prawdę wieczne szczęście cię czeka
>
> Lecz gdy masz prawdą zabić człowieka
>
> To wtedy kłam.

W sali studiów obowiązywała cisza, tym dramatyczniej rozległo się pewnego razu stukanie w jednym z pulpitów. Dyżurujący student, senior, podniósł blat pulpitu, by ujrzeć prymitywny odbiornik sygnałów Morse'a, który przemyślny kolega zmajstrował i skutecznie zademonstrował. Wówczas też nauczyłem się konstruowania radia z kryształkiem. W piwnicy urządziliśmy sobie laboratorium chemiczne, paliliśmy siarkę z opiłkami i wytwarzaliśmy śmierdzące gazy. Prąd elektryczny podłączaliśmy do klamki. Wtedy podając sobie ręce tworzyliśmy łańcuch i podskakiwaliśmy, by znieść "kopanie" prądu. Udało się nam raz złapać najmłodszą zakonnicę, która pewnie od tego momentu kojarzyła dotyk mężczyzny z diabelską elektrycznością.



Tarnowskie Góry na starych pocztówkach

Ponieważ moja matka od czasu do czasu zaopatrywała mnie w masło, na śniadania dostawałem posmarowaną bułkę. Przypominam sobie zatarg z kolegą, który także dostawał bułkę z masłem. Kiedy ktoś mu ją zjadł, on najspokojniej zabrał mi moją, uważając, że postąpił właściwie. Na niedzielne obiady niekiedy bywały kluski śląskie, nieduże i raczej “gumowe”. Choć drobny

chłopaczek, apetyt miałem dorosły. Zjadłem na raz 25 klusek, bijąc dryblasa, który mógł skonsumować tylko 18 sztuk.

Ksiądz prefekt był także naszym profesorem od religii w gimnazjum. Z ministranturą mieliśmy ciągle na pieńku. Wpadliśmy na pomysł, jak ją wreszcie zdać. Zatelefonowałem do księdza gotów zdawać przez telefon. Jeszcze dziś słyszę wezwania w słuchawce "kto mówi, kto mówi". Ale frajerów już wtedy nie było.

Na poczcie, z której telefonowałem, później stałem w ogonku do okienka, gdzie sprzedawano piękny znaczek pamiątkowy na cześć mającego się odbyć lotu balonu polskiego do stratosfery. Bloczek bodaj kosztował dwa złote, pokaźna kwota dla malucha. Dusiłem srebrną monetę i w końcu zrezygnowałem i znaczka nie kupiłem.

Młodsi wychowankowie trzymali przepisowo pieniądze kieszonkowe w depozycie i po obiedzie zgłaszali się do księdza prefekta z zeszytem z prośbą o wydanie drobnych kwot na doraźne wydatki. Z zaoszczędzonych groszy mogli sobie kupić coś dla siebie.

A w Tarnowskich Górach przy ul. Krakowskiej kusił nas salon lodów "Italia". Za 40 groszy podawano tam w niklowanych pucharach porcje wybornych lodów. Zazwyczaj trzy ćwiartki były

wypełnione lodami, a czwarta, śmietaną. O takiej pełnej porcji można było tylko marzyć, kontentowaliśmy się, i to rzadko, mniejszą porcją.

Znaczki pocztowe kolekcjonowałem z pasją. Wszystko zaczęło się od odwiedzin mieszkającego w naszej kamienicy w Kończycach lokatora, Wilhelma. Służył on we francuskiej legii cudzoziemskiej. Z dobrych nawyków, które stamtąd przywiózł, była filatelistyka. Uzbierał dużo pięknych znaczków. Urzekł mnie widok jego albumów. Podarował mi kilka znaczków podwójnych. Wśród nich był irlandzki, który pomyliłem z fińskim. Nic mi wtedy nie mówił kształt wyspy irlandzkiej na znaczku, a miałem w przyszłości spędzić na tej wyspie trzy beztroskie lata uniwersyteckie.

Matka aprobowała moje zbieractwo, ale była przeciwna kupowaniu znaczków. Kiedy przyjechała w odwiedziny do Tarnowskich Gór, ja akurat sprawiłem sobie serię znaczków, które pośpiesznie ukryłem na głowie pod czapką. Pech chciał, że mama postanowiła swojego najstarszego ostrzyc. Kiedy weszliśmy do fryzjera, musiałem zdjąć czapkę i pofrunęły moje znaczki…

Gorącym dniem w konwikcie stał się dzień, w którym gruchnęła wieść, że skradziono album ze znaczkami jednemu z wychowanków. Ksiądz prefekt dobrał sobie kilku zaufanych

starszych studentów, zamknięto internat i zaczęło się gruntowne przeszukiwanie budynku. Akcja przyniosła rezultat. Na strychu za jedną z szaf album znaleziono. Nie pamiętam już finału całej tej historii.

Sypialnia młodszych studentów była większa od dormitorium starszych. Za winy popełnione i dla nauczki, ci ostatni od czasu do czasu, by nas nauczyć respektu, dawali nam w nocy “koca”. Przychodzili po ciemku i nie szczędzili batów. Myśleliśmy o odwecie, ale kończyło się na hałasach i rzucaniu jakichś przedmiotów przez otwarte drzwi. Baliśmy się większego lania w razie schwytania na ich sali.

Obok konwiktu stał budynek sądu grodzkiego i więzienie. Widywaliśmy próby komunikowania się więźniów z rodziną podchodzącą do parkanu. Podawaliśmy rzucone niekiedy na nasz teren listy. Z ciekawości zgłosiłem się parę razy, by służyć za ministranta w więzieniu.

Tarnowskie Góry były miastem garnizonowym, w którym stacjonowały dwa pułki: 11 Pułk Piechoty oraz 3 Pułk Ułanów. Trzeba było widzieć ich powrót z manewrów! Całe miasto wylegało na powitanie. Któż nie czuł dumy na widok wyćwiczonych czwórek piechoty, a co dopiero patrząc na setki koni w ułańskich trójkach. Orkiestry dęły z całego serca napełniając rynek i przyległe ulice świętem i radością.

Ułani zapraszali nas chętnie na pobliski poligon, gdzie podziwialiśmy ściganie się jeźdźców, gonitwy, by lancą nadziać kukłę słomianą lub szablą ściąć witkę. Przyglądaliśmy się manewrowaniu taczanek i dział przeciw



Tarnowskie Góry na starej pocztówce.

ernych, które stawiały czoła makietom czołgów wytaczanych na horyzoncie. Ileż to było emocji, ile obaw i nadziei. Na “kryj się, lotnik”, wyły syreny nad miastem, kiedy samotna awionetka symulowała nieprzyjacielską inkursję samolotów w polskie niebo.

Z synem pułkownika 3 Pułku Ułanów, Bohdanem, rywalizowałem z powodzeniem w pierwszej i drugiej klasie, mimo że mógł on liczyć na nadzwyczajne posiłki w postaci swojej matki, która pojawiała się na wywiadówkach w obłokach perfum, a cała kadra pedagogiczna śpieszyła, by pocałować ją w rękę. Moja matka nie wiedziała, co to jest wywiadówka.

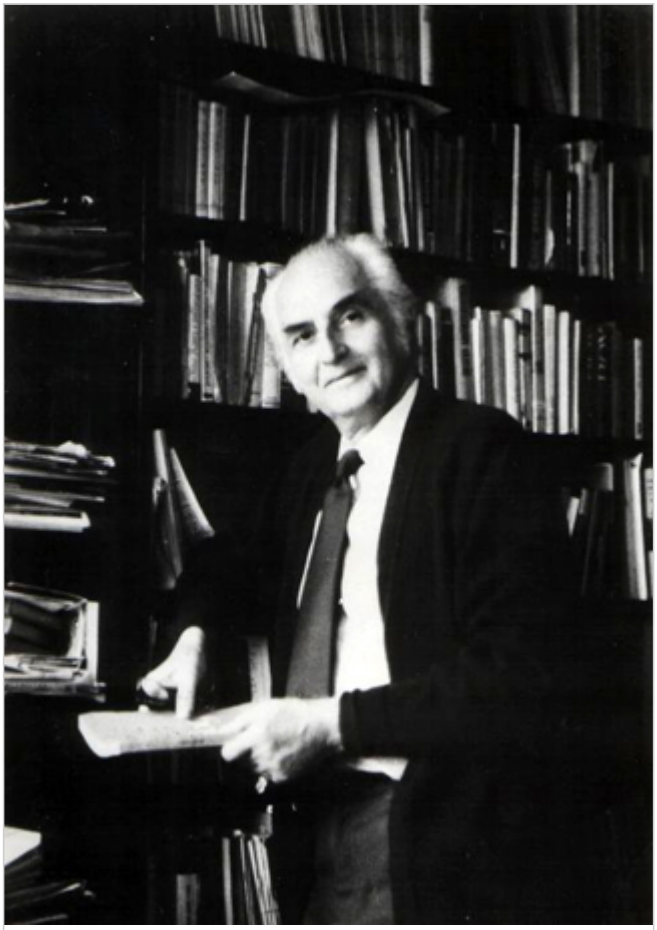
Zabawną polszczyzną mówił nasz germanista Knosala, a matematyk, Broniec, część lekcji poświęcał sprzedawaniu papierowych ekierek i kątomierzy. Kosztowały one grosze, ale i o nie musiał się upominać w czasie spotkań z rodzicami. Zobaczyłem go po raz ostatni 1 sierpnia 1939 roku, kiedy przejeżdżałem przez Kraków, a on stał w kolejce do kasy biletowej na dworcu. Nasz pan od geografii, Henryk Wójcik, jak słyszę, pochodził z Opolszczyzny, z której tak jak nasz germanista salwował się po przegranym plebiscycie. Jego obsesją było poznawanie Polski, kiedy nie agitował za popieraniem Funduszu Obrony Narodowej i budowaniem ścigaczy dla obrony wybrzeża.

Już jako dwunastolatek, absolwent szóstej klasy szkoły powszechnej (Ćwiczeniówki) zabrałem się z wycieczką przez niego organizowaną do Wilna i Pińska. Było nas około pół setki chłopców i dziewcząt. Chłopcy byli z wyższych klas gimnazjum i liceum im. ks. Jana Opolskiego, a dziewczęta, tzw. "Raciborzanki", Polki z Niemiec uczęszczające czasowo do szkoły

w Tarnowskich Górach póki budowało się dla nich gimnazjum w Raciborzu. Wśród nich była Anna Bożkówna, córka Arki Bożka, przywódcy Polaków w Niemczech, którego komuniści najpierw wynieśli na urząd wicewojewody, a potem z innymi działaczami polskimi na Opolszczyźnie, sponiewierali i zniszczyli. Ona opiekowała się mną podczas owej wycieczki, która odwiedziła Łódź i jej przędzalnie i tkalnie, Warszawę, Puszczę Białowieską z Hajnówką i żubrami, Wilno z jego Ostrą Bramą i cmentarzem na Rossie, z wycieczką "Panem Tadeuszem" do Werek, następnie do Baranowicz, Łunińca i Pińska, z wypadem parowcem "Orzeł" na jezioro Horodyszcze. Po wielu latach skonstatowałem, że naszą przewodniczką po Wilnie była poetka, Zofia Bohdanowiczowa.

W roku 1938 na naszym szlaku znalazły się Poznań i Gdynia. Byliśmy też na Helu i odwiedzili Oksywie ze stawiaczem m.in. "Gryfem". W czasie tej wycieczki wypaliłem mojego pierwszego papierosa, by się solidaryzować z klasą. Na szczęście, na tym skończył się mój romans z tytoniem.

W lokalnym kinie byłem kilka razy, pamiętam, że podobał mi się film z uroczą Kanadyjką, Deanną Durbin. Ale dobre filmy były dostępne od lat szesnastu, a z tym był, oczywiście, kłopot.



Leopold Pobóg-Kielanowski, fot. Encyklopedia Teatru Polskiego.

Do teatru natomiast trzeba się było wybrać do innego miasta. Nie zapomniałem wycieczki klasy do Katowic do teatru im. St. Wyspiańskiego na hiszpańską sztukę Calderona w przekładzie Juliusza Słowackiego “Książę Niezłomny”. Był to rok 1938. Niezatarte wrażenie zrobili na mnie strojni portugalscy infanci, którzy pokazali się po podniesieniu kurtyny. Jeden z nich wygłosił piękne tyrady. Był nim przystojny Leopold Pobóg-

Kielanowski, młody aktor i reżyser hołdujący idei teatru monumentalnego.

W czasie wojny pojawił się w Anglii i był wielokrotnym reżyserem Teatru Polskiego w Londynie. Przypomniał wtedy swoje udane inscenizacje z Polski, również “Księcia Niezłomnego”, którego już sam nie zagrał.

W Katowicach dla swawoli wespół z kolegami chrupałem głośno suchary w momentach najwznioślejszych. Odpokutowałem burszowskie wybryki później, kiedy zostawszy iberystą byłem promotorem pracy doktorskiej właśnie poświęconej “Księciu Niezłomnemu”. Z kurtuazji bardziej niż realizmu posłałem Kielanowkiemu w Londynie do wglądu mój przekład moralitetu Calderona “Tajemnice Mszy Św.”, z którego on, w warunkach emigracyjnych, rzecz jasna, nie mógł skorzystać.

I tak wśród nauki i zabaw płynęły młode lata. W czasie letnich wakacji znalazłem się w Katowicach i byłem świadkiem manifestacyjnego pogrzebu Wojciecha Korfantego. Zdało się, że cała Opolszczyzna przyszła przez granicę w barwnych strojach żegnać swojego tragicznego bohatera i przywódcę, nieświadoma, że z jego odejściem miała nastąpić era okrutnej wojny i dramatycznego przewrotu.

W pogoni za złotem

Joanna Sokołowska-Gwizdka



Joanna Sokołowska-Gwizdka i Jacek Gwizdka przed historycznym sklepem w Bodie – miasteczku marzycieli.

Miasteczko Bodie – skansen ludzkich namiętności

Słońce jest już ponad górami pokrytymi skąpą roślinnością. Piaszczysta, kręta droga, wiodąca na południe od kowbojskiego miasteczka Bridgeport, odkrywa coraz to nowy, skalisty krajobraz. Ciepłe powietrze wciska się w górskie przełęcze. Ilu ludzi w pogoni za błyszczącym kruszcem utopiło tu swoje marzenia? Jaką cenę trzeba było zapłacić za stukot metalowych krążków? Tętent końskich kopyt sprzed stu lat miesza się z odgłosem silnika samochodu. Z płyty leci muzyka Carlosa Santany. W oddali widać zlewające się z tłem krajobrazu drewniane dachy rozsypanych pomiędzy górami Sierra Nevada, opuszczonych domów. Dojeżdżamy na miejsce. Okoliczni ludzie mówią, że Bodie jest miasteczkiem – widmem, miasteczkiem duchów. Jedynym zachowanym w tej okolicy skansenem ludzkich namiętności.



Bodie, fot. Jacek Gwizdka

Małe, drewniane domki z werandami, pochylone nad ulicą, z prześwitem lat odbijających się w szybach okien, w ostrym słońcu, na tle błękitnego nieba i wyschniętej roślinności, to nie plan filmowy, czy obraz z westernu z Johnem Waynem. To jedno z 546 górniczych, złotodajnych miasteczek, jedyne, które dotrwało w całości do dziś. Opuszczone od ponad 130 lat, zastygłe w wieloletnim bezruchu. Firanki w oknach, tapety na ścianach, połamany stół, przekrzywiona fotografia nad łóżkiem. Z sufitów gdzie nie gdzie wystają kawałki białego płótna, wciśnięte pomiędzy deski. Wnętrza, wypełnione marzeniami o lepszym życiu, stworzone przez mieszkańców ciasnych, małych, zimą źle ocieplonych domków. Osadników, dla których Kalifornia

miała stać się „ziemią obiecaną”, krainą wielkiej szansy. Młodzi zdobywcy, nie bojący się ryzyka, poszukiwacze przygód, ściągali z całego kontynentu by odmienić swój los. Znosili zimy i upały, ogromne różnice temperatur, ostre mrozy i brak wody. Przetrzymywali samotność i zabójczo ciężką pracę. Każdego dnia walczyli o przetrwanie, ginęli przy przeprawie przez niezwykle trudne do pokonania przełęcze Sierra Nevada, żyli na pustkowiu. Poddający się prawom natury, oddaleni wielokilometrową przestrzenią od najbliższej osady, trwali, opanowani szaleńczą pogonią za pieniądzem.



Bodie, fot. Jacek Gwizdka

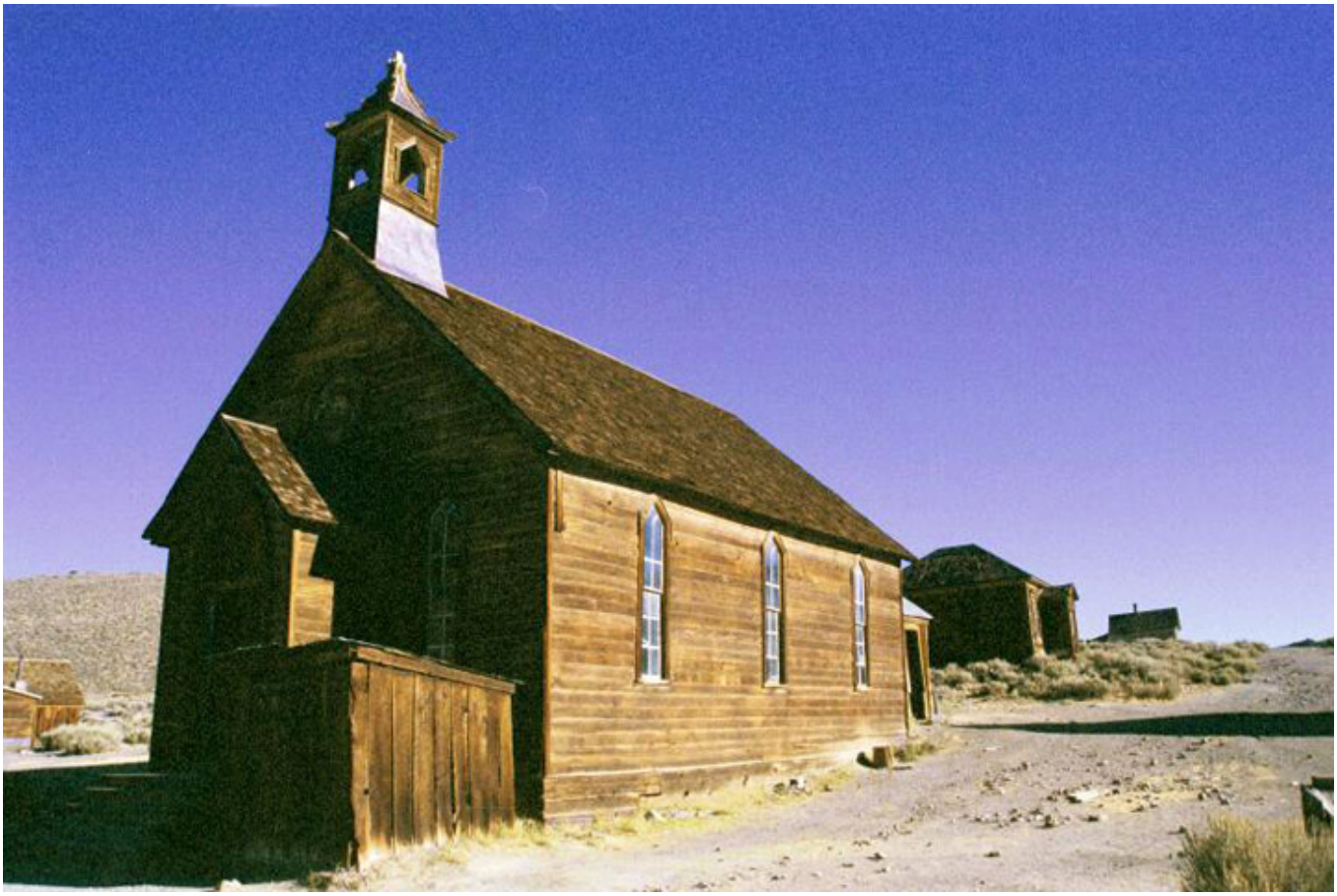


Bodie, fot. Jacek Gwizdka

Słońce połyskuje ciekawie na dachach. W oddali górują nad miastem, zlewające się z krajobrazem, szyby opuszczonej kopalni. To tu w bardzo trudnych warunkach wydobywano rudę złota. Pierwsi poszukiwacze cennego kruszcu mieli łatwiejszą pracę. Wystarczyły im sita i płuczki. Spływająca z gór woda wymywała piasek, a cięższe od piasku i żwiru złoto gromadziło się w zatoczkach i w zakolach rzek. Jednak te łatwo dostępne złoża szybko się wyczerpały. Kolejni przybysze finansowani przez bankierów zaczęli organizować się w grupy, rozpoczęli budowę kopalń, młynów do mielenia rudy, systemów wodociągowych.

Idziemy ulicą, zaglądamy ciekawie przez okna, siadamy na schodach sklepu. Na wystawie stare, zakurzone przedmioty, waga, metalowe pudełka po kawie i herbacie, manekin, butelka po spirytusie, pudełko z napisem „Asspirin”. Kolejne miejsca, kolejne ulice o dźwięcznych nazwach, Bonanza, King, Prospect, Union. Szkoła z tablicą i ławkami, straż pożarna, sąd, więzienie, bank, hotel i siedem *saloonów*, w których można było wydać część ciężko zdobytych pieniędzy. W jednym z budynków zebrano sprzęty i rozmaite przybory z różnych domów. Damskie suknie, kapelusze z piórami, sznurowane buty, wieczorowe torebki, wachlarze, perfumy. Barwnie i kolorowo musiało wyglądać życie wieczorową porą, po ciężkiej pracy w kopalni.

W gablocie album z fotografiami. Twarze, sprawy, codzienne zajęcia i ważne wydarzenia, marzenia i nadzieje.



Bodie, kościół ewangelicki, fot. Jacek Gwizdka.

Zachowany w idealnym stanie kościół ewangelicki, wygląda tak jakby za chwilę miał przyjąć modlitwę o szczęście dla poszukiwaczy złotego kruszcu. Podchodzi do nas jakiś człowiek, w wielkim kowbojskim kapeluszu. – Tak wcześnie w Bodie? – uśmiecha się. A skąd jesteście? Bo ja z San Francisco? Nocowałem niedaleko w samochodzie, by być tu z samego rana. Wtedy jest niesamowite światło, trochę porannej mgły, odrobina tajemniczości. Przyjeżdżam tu co jakiś czas. Coś magicznego jest w tym miejscu. Gdy człowiekowi nie wiedzie się w interesach powinien cieszyć się, że zdobył doświadczenie, bo jest to zapowiedzią przyszłego sukcesu. Tak mówili osadnicy.



Body, wóz którym osadnicy przybywali po swoje marzenia, fot. Jacek Gwizdka.

Ta wypracowana przez lata doświadczeń i zmagań z wysiłkiem, kalifornijska dewiza jest ciągle żywa. Kalifornia nadal przyciąga marzycieli, ryzykantów, ludzi odważnych nie wahających się postawić wszystkiego na jedną kartę. To nie przypadek, że właśnie w Krzemowej Dolinie niedaleko San Fransico ciągle

powstają setki nowych, małych i wielkich firm komputerowych. To tu w błyskawicznym tempie rozwija sie Internet, którego sieć oplotła już całą kulę ziemską. Tak jak ponad sto lat temu Kalifornia była głównym dostawcą złota dla mennic i banków w całych Stanach Zjednoczonych, tak teraz dostarcza całemu światu komputerową myśl twórczą.

Czyżby więc sprawdził się jeden z amerykańskich mitów tworzony przez gotowych na wszystko poszukiwaczy złota, mit o Kalifornii – krainie bogatej, krainie szczęśliwej, krainie wielkiej życiowej szansy ?

Czerpię ze spotkań z niezwykłymi ludźmi

Rozmowa z reżyserką Anną Jadowską

Film jest takim medium, które potrafi rezonować z rzeczywistością w najszybszy sposób, odpowiada też

percepcji współczesnego człowieka **– opowiadała nam w wywiadzie o swojej pasji filmowania i reżyserowania Anna Jadowska.** ***W nim najpełniej można wyrazić emocje, zapisać wrażenia. I na wszystkich tych etapach doświadczam głębokich spotkań z niezwykłymi ludźmi, z których wiele czerpię.***



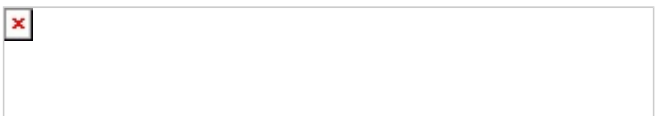
Anna Jadowska na planie filmowym, fot. arch. A. Jadowskiej.

Barbara Lekarczyk-Cisek: Jest Pani autorką kilku

dokumentów, filmów fabularnych, reżyserowała również seriale. Skąd wzięło się u polonistki zainteresowanie filmem? Dlaczego tę właśnie formę wypowiedzi uznała Pani za odpowiednią dla siebie?

Anna Jadowska: Był czas, kiedy poszukiwałam swojej drogi. Po polonistyce pracowałam w Polskim Radiu, potem zdawałam do szkoły filmowej, nie mając do końca świadomości, dlaczego. Pisałam natomiast opowiadania i bardzo to lubiłam, sądziłam więc, że literatura będzie tym, czym będę się w przyszłości zajmować. Kiedy jednak poczułam, że zaczynam się stabilizować, zaczęłam czegoś poszukiwać, aby od tego uciec. Do PWSFTviT w Łodzi dostałam się za pierwszym razem i mam wrażenie, że czegoś się tam nauczyłam. Sądzę, że film jest takim medium, które potrafi rezonować z rzeczywistością w najszybszy sposób, odpowiada też percepcji współczesnego człowieka. W nim najpełniej można wyrazić emocje, zapisać wrażenia. Lubię także wieloetapowy proces pracy nad filmem – to, że najpierw powstaje scenariusz, potem się go realizuje, wreszcie montuje. I na wszystkich tych etapach doświadczam głębokich spotkań z niezwykłymi ludźmi, z których wiele czerpię.

Z pewnością takie spotkania zaczęły się już na studiach. Kogo wspomina Pani w sposób szczególny?



Anna Jadowska, fot. Rafał Placek.

A.J.: Ze szkoły filmowej najwięcej zawdzięczam Wojciechowi Marczewskiemu, u którego robiłam film dyplomowy. Natomiast w przypadku mojego ostatniego filmu: „Dzikich róż" wiele zawdzięczam Agnieszce Holland – konsultowałam z nią scenariusz, oglądała także film na różnych etapach jego powstawania. To ogromnie ważne, aby film mogli zobaczyć ludzie o takim doświadczeniu, jak ona i skierować go na odpowiednie tory.

Pani już na studiach zrobiła pierwszy niezależny film wraz z Ewą Stankiewicz. „Dotknij mnie" podejmował bardzo trudne tematy. Czy ten temat pojawił się dzięki temu, co zobaczyłyście w Łodzi – mieście biednym, pełnym bezrobotnych ludzi?

A.J.: Tak właśnie było! Kiedy trafia się do Łodzi, szkoła filmowa jest rodzajem wyspy, na której się przebywa. Natomiast kiedy zaczyna się rozumieć to miasto, widzieć je i być naprawdę pośród tych ludzi, to jest to doświadczenie dojmujące i nie można pozostać obojętnym. „Dotknij mnie" wziął się z takiej obserwacji. Teraz, kiedy mieszkam w Warszawie, mam wrażenie, że życie w

Łodzi bardziej wychodzi na ulicę. Trochę jak na wsi – bramy wypełnione ludźmi, którzy się spotykają, długo ze sobą rozmawiają, czasami awantury przenoszą się na zewnątrz... Robiąc „Dotknij mnie" wiele wzięłyśmy z tej ulicy. Bohaterka tego filmu, grana przez Ewę Szykulską, jest odbiciem łódzkich kobiet, które po przekroczeniu pewnego wieku coś tracą – nie ma w ich wyglądzie różnicy między trzydziestym a pięćdziesiątych rokiem życia. Kiedy oddają się rodzinie, sprawiają wrażenie, jakby traciły własną indywidualność – szarzeją, jak gdyby pozbawiono je wewnętrznej energii.

Jest Pani również autorką filmów dokumentalnych. Czy praca nad dokumentem wpływa w jakiś sposób na sposób Pani podejścia do fabuły?

A.J.: Lubię dokument i robiąc filmy dokumentalne odnoszę wrażenie, że dużo się uczę o fabule. Fascynuje mnie zapis dokumentalny prawdziwego życia, bo ma naturalną, niewymuszoną dramaturgię i skupia się mocno na bohaterze. To jest sposób narracji, który mi odpowiada. Po zrealizowaniu „Trzech kobiet" z operatorką Małgorzatą Szyłak, kiedy cierpliwie obserwowałyśmy przez dwa lata nasze bohaterki, doszłam do wniosku, że życie pisze najlepsze scenariusze. To była prawdziwa lekcja pokory. Uświadomiłam sobie, jak niewiele można sobie wyobrazić, choćby to, jak niekiedy małe elementy ludzkiego życia mogą stać się przyczyną wielkich zmian i odwrotnie. Dzięki tej

pracy zaczęłam inaczej pracować nad scenariuszem.



Anna Jadowska (z lewej) na planie filmu „Z miłości" z aktorka Anną Ilczuk, fot. R. Pałka.

Czyli można zaryzykować stwierdzenie, że narracja dokumentalna wpłynęła na Pani sposób opowiadania fabuł? Oglądając Dzikie róże" miałam takie wrażenie, jakby Pani bohaterowie byli wyjęci z życia, prawdziwi.

A.J.: Trochę tak się stało.

Czy ma Pani wpływ na kształt filmu na wszystkich jego etapach?

A.J.: Tak rzeczywiście jest. Moje kino ma charakter autorski.

Oczywiście, muszę liczyć się ze zdaniem producenta, konsultuję scenariusz itd., ale wybory należą do mnie. Każda opinia może być cenna i ważna.

A jak to jest z tematami – same przychodzą czy niekoniecznie?

A.J.: Na pewno nie jest to rodzaj kalkulacji, ale coś musi mnie poruszyć. Czasami pojawia się jakaś scena, która staje się impulsem i ją rozwijam. Z drugiej strony, mam mnóstwo scenariuszy, których nie zrealizowałam. Ale na tym to polega, żeby tworzyć i wybierać.



Anna Jadowska, portret, fot. arch. A. Jadowskiej.

W „Dzikich różach” podejmuje Pani problem trudnych relacji w rodzinie, a także dojrzewania poprzez macierzyństwo. Jest to właściwie film o trzech kobietach, których portrety przedstawia Pani bardzo wyraziście. Jak Pani pracuje z aktorami i z amatorami, aby takie wspaniałe efekty osiągnąć?

A.J.: Nie mam żadnych magicznych metod (śmiech). Pracuję bardzo długo, cierpliwie tłumacząc. Mam zazwyczaj jasną wizję tego, co chcę osiągnąć. Preferuję rodzaj aktorstwa bardzo oszczędny, nieomal dokumentalny. W osiągnięciu prawdy pomaga mi zmieszanie aktorów z naturszczykami, ponieważ aktorzy czerpią tę prawdę na przykład od dzieci. Moja praca z aktorami jest raczej rodzajem spotkania, wymianą energii. Kiedy ludzie dają przyzwolenie i otwierają się, powstaje wrażenie, że są na ekranie prawdziwi.

Czy udało się Pani uwolnić od tego filmu, któremu poświęciła Pani aż cztery lata życia?

A.J.: Dzisiaj rano obudziłam się bardzo szczęśliwa, że to już poszło w świat! Dopiero teraz poczułam, że skończyłam ten film.

Czy pracuje Pani już nad czymś nowym?

A.J.: Piszę kolejny scenariusz. Mogę zdradzić jedynie to, że

bohaterką będzie również kobieta w dramatycznej sytuacji, ale z odrobiną czarnego humoru.

———————————

Anna Jadowska (ur. 15 czerwca 1973 w Oleśnicy) – polska reżyser, scenarzystka i scenografka. Jest absolwentką Filologii Polskiej na Uniwersytecie Wrocławskim oraz Wydziału Reżyserii PWSFTviT w Łodzi. Zrealizowała m.in. następujące filmy fabularne: „Generał – zamach na Gibraltarze”, „Z miłości”, „Dotknij mnie”, „Teraz ja”, dokument „Trzy kobiety” oraz dokument fabularyzowany „Generał” (o gen. Władysławie Sikorskim). Ponadto reżyserowała wiele seriali, m.in. „Na dobre i na złe”, „Uwikłani”, „Niania w wielkim mieście”.

Późne notacje – poezja Floriana Śmieji



Zbigniew Andres

Poezja Floriana Śmieji ma swoje miejsce we współczesnej kulturze. Zapoczątkowana na obczyźnie przed ponad pół

wiekiem (tom debiutancki, *Czuwanie u drzwi,* Londyn 1953) i ciągle tworzona z dala od kraju, rozwija się nieprzerwanie i pomnaża, wzbogaca się o coraz to nowe akcenty, coraz głębsze refleksje, bogatsze myśli sprawdzane i niejako pieczętowane doświadczeniami życia. Jest to więc poezja kształtowana z perspektywy emigranta, poety konfrontującego dwa obszary kultur, zatem w szczególny sposób patrzącego zarówno na sprawy polskie, jak i na problemy uniwersalne, dotyczące w ogóle człowieka. Nie bez znaczenia jest zatem to, iż powstaje na ciągle niepewnym gruncie, bo w warunkach obczyzny, ale i wśród zawirowań historii, a więc w niestabilnej przecież sytuacji egzystencjalnej.

Jest więc w tej poezji coś, co zachwyca, fascynuje i coś co wzbudza zarazem niepokój, skłania do refleksji, poniekąd zaskakuje niespodziewanymi efektami. Na uwagę zasługuje metoda twórcza poety. Z doświadczeń i obserwacji najprostszych nawet zdarzeń, które na co dzień towarzyszą ludzkiemu życiu, czerpie on bogactwo myśli, przenikliwie dostrzega prawidłowości, sensy i absurdy. Zatrzymuje się przy owych powszednich sprawach i tutaj poszukuje okazji do głębszej zadumy nad światem oraz życiem, po prostu nad problemami, wobec których najczęściej przechodzi się obojętnie, bądź które świadomie próbuje się oddalać z pola widzenia. Florian Śmieja eksponując, wydawałoby się nienowe, wielokrotnie przez poetów podejmowane tematy, odświeża je i nadaje im pogłębiony

wymiar. Odwołuje się do dobrze sprawdzonych, wypróbowanych twórczych strategii. Droga jego wyobraźni kieruje się często ku wspomnieniom. W akcie twórczym ożywia się pamięć i ona właśnie stanowi nie tylko niewyczerpane źródło motywów, ale pozwala także przenosić myśli w wymiar czasu uniwersalnego, sprawia, że stają się owe myśli zawsze aktualne. Z tej właśnie konfrontacji, a więc zderzania się jakby na kliszy pamięci przeszłości z teraźniejszością, rodzi się zamyślenie nad sprawami, które stanowią treść ludzkiej egzystencji, zatem nad doznaniami i doświadczeniami, które nie omijają człowieka, które ciągle stają na jego drodze. Urodę świata, atrakcje życia, nieczęste zresztą, przysłania więc metafizyczny niepokój, smutek przemijania, rozmyślanie nad przemianami czasu. W tym nurcie refleksji pojawia się też motyw ojczystego kraju, zatroskanie o jego losy, i motyw rodzinnych stron, „małej ojczyzny”, śląskiej ziemi, wplatany w wysublimowane wspomnienia. Emocjonalna tkanka tego właśnie motywu najbardziej wyraziście uwidocznia się w wierszu o jakże wymownym tytule: *Przesłanie*. Warto ten krótki utwór przywołać tutaj w całości:

> Świat może być ojczyzną
>
> i nieraz nią bywa
>
> lecz matka jest jedna

> i święta ziemia
>
> która cię zrodziła.
>
> Dla innych Śląsk to szansa
>
> ziemia obiecana
>
> szczebel do sławy
>
> ja go utraciłem
>
> dlatego się smucę.

Jest to jakby poetycka deklaracja, swoisty manifest twórcy kontemplującego swoją sielską, utraconą bezpowrotnie, przeszłość. Perspektywa emigracji odsłania się tutaj wyraźnie. Ona organizuje specyficzny, pełen nostalgii ton tego wiersza. Szczególnie dużo tego rodzaju utworów zgromadził poeta w tomie *Wśród swoich*. Znamienne, że tom ten powstał właśnie w późnych już latach twórczości Floriana Śmieji, a więc w czasie, gdy powroty do arkadyjskiej krainy młodości, zarówno te realne, odbywane w obecnych już warunkach jakże często, jak i te dokonujące się w sferze wyobraźni, w wymiarze głębokich

doświadczeń wewnętrznych, wiążą się z doznaniami o szczególnej randze emocjonalnej.

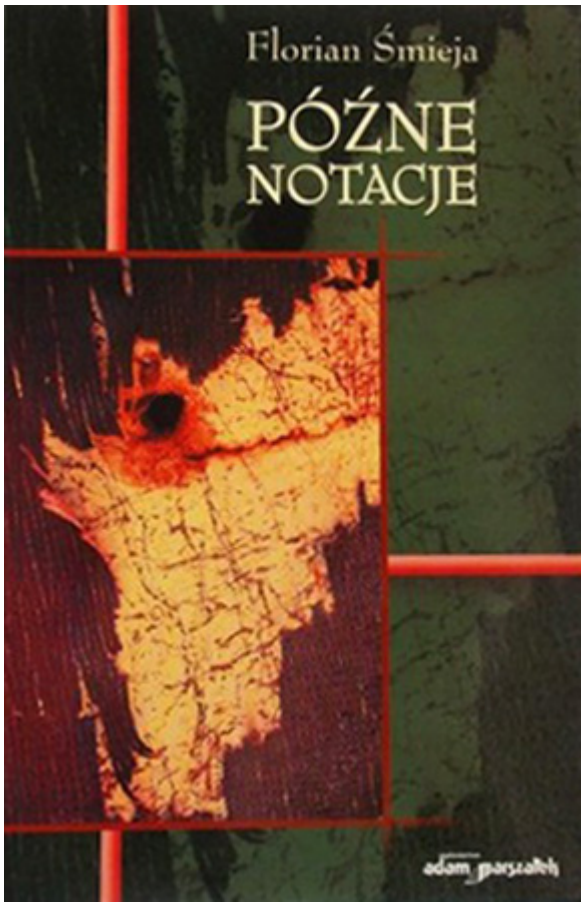
Utwory o podobnym temacie i podobnej tonacji, konfesyjne, pełne niezwykle subtelnego liryzmu, obecne są także i w innych tomach poety. Przypomnijmy tutaj, dla przykładu, fragmenty wiersza *Inwokacja* ze zbioru *Bezrok,* w którym nostalgiczna, elegijna nuta brzmi jeszcze wyraźniej:

> Bądźcie mi pozdrowione
>
> górnośląskie Opole
>
> Kamieniu Odrowążów
>
> góro Świętej Anny
>
> starki Pana Jezusa
>
> gwarą szepcąca Odro
>
> Gogolinie z piosenki
>
> Dobrzeniu, Siołkowice

> Arkadio mego dzieciństwa:
>
> was noszę w sobie jak szkaplerz
>
> (.....)
>
> Ziemio krzyży przydrożnych
>
> bocianów, ładu i wiary.

Opublikowane, w dobrze już zasłużonej dla polskiej kultury toruńskiej oficynie Adama Marszałka, *Późne notacje,* to czternasty tom poetycki Floriana Śmieji. Na tom ten złożyły się wiersze z trzech ostatnich jego zbiorów wydanych w Kanadzie (Silcan House, Mississuaga): *Niepamiętanie* (1999), *Bezrok* (2001), *Nad Jeziorem Huron* (2002). W dołączonych tutaj *Variach* zaś znalazły się wybrane utwory m.in. z tomów nieco wcześniejszych: *Ziemie utracone* (1994) oraz właśnie ze wspominanych przed chwilą *Wśród swoich* (1998). Można więc w skrócie powiedzieć, że są to wiersze, które tworzone były w ostatniej dekadzie minionego wieku, zwłaszcza na przełomie stuleci. Powstała wówczas znaczna część dorobku poety, może nawet, w przybliżeniu, blisko połowa wszystkich jego utworów. Ta szczególna aktywność twórcza to zapewne wynik nagromadzonych doświadczeń życiowych, rosnącego niepokoju,

dojrzałej refleksji oraz ukształtowanej postawy dystansu wobec spraw ważkich i błahych, ale także w pewnym sensie i rezultat okoliczności innej natury: nowej sytuacji literatury emigracyjnej, a więc procesów integrujących całą polską kulturę, tym samym także wzrostu zainteresowań twórczością poetów dotąd w kraju mniej znanych.



W tomie *Późne notacje* w sposób szczególnie wyraźny daje o sobie znać ukształtowana, dobrze utrwalona, postawa wobec świata i ludzi. Ujawniają się przekonania, poglądy, punkty widzenia, bogate doświadczenia, jakich dostarczyło życie, zatem wszystko to, co stanowi o charakterze i granicach tej twórczości. Poeta – powracamy do myśli w tej pracy już sygnalizowanej – wśród zjawisk świata i w formach ludzkich zachowań zauważa reakcje zgodne z naturą i prawem, ale też i różne niedorzeczności oraz paradoksy. Są to więc wiersze problemowo niejednorodne, w których częściej może niż w okresie wcześniejszym pobrzmiewa ton rozliczeniowy. Na czoło wysuwają się tematy eschatologiczne, motywy przemijania, samotności, starości, śmierci. Informują o tym już same tytuły

utworów. Wymieńmy tylko niektóre: *Niepamiętanie, Notes, Odchodzenie, Duchów obcowanie, De senectute, Nagrobek, Uchodzenie życia, Zachód słońca, Nekropol w Carmonie, Stary poeta, Na śmierć poety, Zjawa.* Zobaczmy więc, jakie treści kryją się pod niektórymi tylko, wymienionymi tu, tytułami:

> Zanim się spostrzegłem
>
> mój stary notes
>
> stał się spisem umarłych.
>
> Na której by go stronie
>
> nie otworzyć
>
> same puste adresy
>
> i nieme telefony.
>
> (*Notes)*

> Już więcej moich przyjaciół jest po drugiej stronie

po tamtym brzegu, za ścisłym kordonem.

Przybywa ich. Przewoźnik zdążyć nie potrafi,

a na mnie patrzą nieme fotografie.

W brzózkach się snują widma niewyraźne

przywidzenia to, pamięć, zlękła wyobraźnia?

(*Duchów obcowanie*)

Łatwo nauczyć się chodzić

odchodzenie jest trudne

(.....)

odchodzenie najlepiej wdrażać

zanim się człek zakorzeni

(*Odchodzenie*)

> Za długo żyjesz, mój drogi
>
> jesteś, gdy rówieśnicy odeszli
>
> żegnałeś ich, odprowadzałeś
>
> ten luksus już nie dla ciebie.
>
> (*Stary poeta*)

Taki właśnie ton przeważa w utworach z ostatniego tomu Floriana Śmieji. Ale nie jest to jednak poezja skrajnie pesymistyczna. Mimo wspominanych tutaj motywów, dominującego nastroju, jest ona otwarta na życie. Poeta próbuje opisywać, o czym była już w tym szkicu mowa, prawidłowości tego życia, jego odwieczne problemy i aspekty. W wierszu *Z czego wiersz?,* dedykowanym księdzu J. Szymikowi, znajdujemy na przykład następujące sformułowanie:

> Z życia nam lepić poezję
>
> nie z teorii, suchych dociekań
>
> szkolarskich konstrukcji.

> (……)
>
> tylko rozwieś swe druty
>
> a ściągniesz mocne sygnały
>
> tobie wysyłane, byś nimi
>
> wytyczał drogę pewną
>
> przerzucał kładki
>
> przetwarzał okolicę
>
> krzepił i śmiał się zarazem
>
> z pocieszności wnuczki.

Autor *Późnych notacji* ważną rolę przypisuje przyrodzie. Właśnie przyroda pełna egzotyki, majestatu, tajemniczości (Jezioro Huron), także ta najbliższa, wśród której żyje się na co dzień oraz wypełnione nią krajobrazy budzące zachwyt i podziw swoją urodą, przenoszą zmęczonego życiem wytrwałego wędrowca w wymiar wymownego mitu, jakby w swoisty „zaczas” (tu

znamienny tytuł tomu: *Bezrok*). Regenerującą moc ma również zakorzenienie w realiach stron rodzinnych. Utrwalone w pamięci, przeżyte emocjonalnie, realia z tych stron stają się źródłem ożywczej siły, a tym samym punktem oparcia wobec niepewnej codziennej egzystencji.

Metamorfozy Bashi Maryanskiej

> **Sztuka jest dla ludzi!**
>
> **Sztuka, która nie jest oglądana nie istnieje! Tylko przez osobisty kontakt widza ze sztuką, można ją odczuć i przeżyć. Przemawia wtedy do uczuć i emocji człowieka w języku pozawerbalnym. (Basha Maryanska)**



Basha Maryanska

Basha Maryanska jest artystką**,** którą fascynują różne techniki i materiały. Eksploruje wciąż nowe środki wyrazu artystycznego, odkrywa nową paletę barw, aby dojść do najgłębszych pokładów emocjonalności odbiorcy. Wielokrotnie była nagradzana za

wystawy prezentujące jej różnorodne prace – od malarstwa, poprzez tkaninę, rzeźbę instalacje, grafikę i fotografię. Zajmowała się również *performance* i sztuką przestrzenną, ukazującą ruch i człowieka w przestrzeni.

Studiowała w Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku w pracowni malarstwa profesora Kazimierza Śramkiewicza (twórcy szkoły sopockiej) i w pracowni tkaniny artystycznej profesor Józefy Wnukowej. Część studiów odbyła w Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych w pracowni malarstwa profesor Krystyny Łady-Studnickiej oraz w pracowni tkaniny artystycznej profesora Wojciecha Sadleya, znanego twórcy tkaniny unikatowej i eksperymentalnej.

Już jako studentka trzeciego roku ASP w Warszawie, zdobyła nagrodę w Paryżu za tkaninę unikatową na wystawie sztuki młodych artystów. Nagrodzona tkanina została zakupiona przez szwedzką rodzinę ze Sztokholmu.

Basha Maryanska uzyskała dyplom w 1979 r. Studia podyplomowe odbyła w Paryżu na *École du Louvre*, gdzie przez rok studiowała sztukę późnego średniowiecza i renesansu. Studia i pobyt w Paryżu wywarły ogromny wpływ na artystkę. Wywodzącą się z okresu paryskiego symbolika późnego średniowiecza i kolorystyka renesansu do tej pory są obecne w jej twórczości, w daleko idącym przetworzeniu.

W 1986 roku Basha Maryanska otrzymała stypendium Fundacji Kościuszkowskiej i przez rok wystawiała swoje prace w Nowym Jorku pracując przy tym nad symboliką Indian Północnej Ameryki. W tym czasie należała do *Polish American Artists Society*, organizacji polskich artystów w Ameryce, której prezesem był wówczas Andrzej Kenda. Członkami towarzystwa byli tacy artyści jak Rafał Olbiński, Andrzej Czeczot czy Christof Zacharow. Szerokim echem odbiła się wówczas wystawa PAAS-u p.t. „VOICES OF FREEDOM" w *Arsenal Gallery* przy Central Park i 5-th Ave. na Manhattanie. Z wystawy nakręcono film, pokazywany w amerykańskiej telewizji, ukazał się też wywiad z Bashą Maryanską w polskiej telewizji w Nowym Jorku. To był kolejny ważny okres w twórczości artystki.



Basha Maryanska, INFINITY, Acrylic on Canvas, 24×18 inches.

Basha Maryanska obecnie mieszka w pięknej okolicy w Beacon, półtorej godziny jazdy na północ od Manhattanu, w górach, nad rzeką Hudson. Założyła tam galerię autorską, która jest również jej pracownią. Artystka wystawia tam zarówno swoje prace, jak i prace innych artystów, z którymi współpracuje. Odbywają się tu też regularne warsztaty malarskie. Od 12-tu lat pracuje również jako kurator w Galerii Szuki Współczesnej na Manhattanie, w dzielnicy sztuki nowoczesnej – Chelsea.

Prace artystki znajdują się w licznych kolekcjach prywatnych i

muzealnych na całym świecie. Wchodzą w skład stałej kolekcji Muzeum Harvarda przy *Harvard University* w Cambridge w stanie Connecticut, w Muzeum Narodowym w Gdańsku, jak również Muzeum Kazimierza Pułaskiego w jego dworku w Warce koło Warszawy.



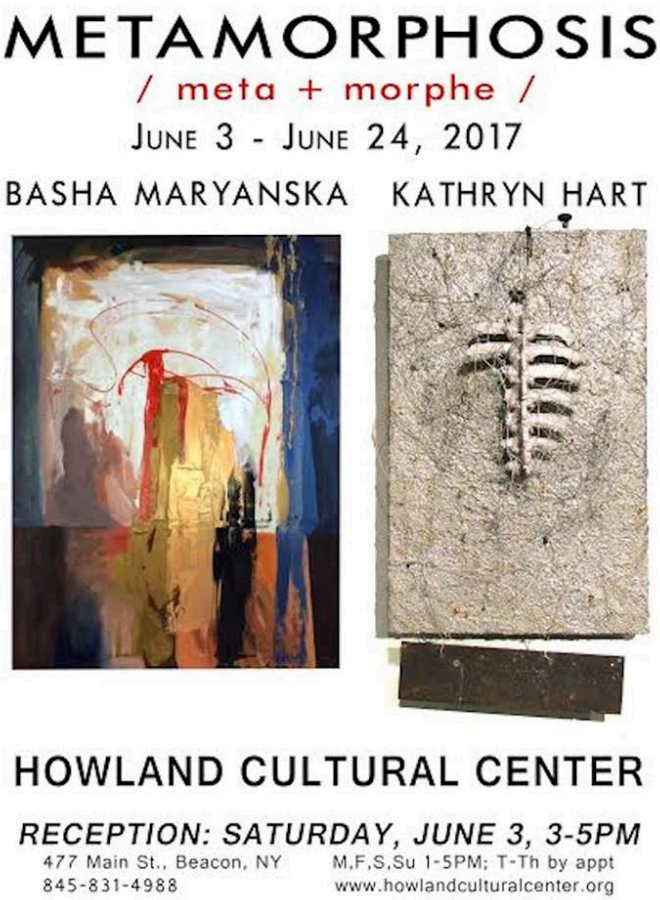
Basha Maryanska, ANGER, 2015, Acrylic on Canvas, 30×40 inches.

W kolekcjach prywatnych prace Bashi Maryanskiej znajdują się **w Polsce:** w Warszawie, Gdańsku i Krakowie, **we Francji:** w Paryżu, Grenoble, Aix-en Provence, Limoges, Montpelier i w

Metzu, **w Niemczech:** w Monachium i w Berlinie, **w Holandii:** w Amsterdamie i Hilversum, **w Szwecji:** w Umeå i w Sztokholmie, **na Litwie:** w Wilnie, **w Czechach:** w Pradze, **w Kanadzie:** w Montrealu i w Toronto, **w Japonii:** w Osace i w Tokyo, **w Meksyku:** w Mexico City, a **w USA** w licznych kolekcjach prywatnych w Dolinie Krzemowej w Kaliforni, Waszyngtonie, Chicago, Bloomington w stanie Indiana, w Bostonie i w Nowym Yorku, gdzie artystka tworzy.

Jako kurator i artysta malarz Basha Maryanska współpracuje z wieloma artystami na całym świecie.

www.bashamaryanska.com



Plakat zapowiadający wystawę w Beacon, NY.

Review featured on the Gallery&Studio Website

Two Artists Turn From Tragedy to Triumph at Howland Cultural Center

"Metamorphosis"—"…a transformation, … change in form from one stage to the next in the life of an organism…" definitions for this word from Webster's that Basha Maryanska and Kathryn Hart aptly chose for the title of their recent dual exhibit at the Howland Cultural Center in Beacon, NY.

Here, both Maryanska and Hart demonstrate their formidable talents in forty-seven works, using their own reactions to repeated personal catastrophes, vanquishing anguished memories through pieces of drama and depth, providing a transforming emotional experience for anyone lucky enough to have had the opportunity to view them.

Close personal friends and creative soul mates, they did not join forces here cynically, but resolved to turn their pain into triumphs of creativity. Hart accomplishes this in her mixed media sculptures, while Maryanska uses her emotions as catalysts for the exuberant colors flowing from "head to heart to arm" in her paintings, turning a harsh life history into poems to a higher power, the artist acting as an amanuensis to the divine soul.



Basha Maryanska, "The World Apart"

Maryanska's triptych, "Memories—It Happened, We Remember, If Walls Could Speak," a dark acrylic documenting the suffering of the Polish people throughout modern history was the first painting on the gallery wall. The artist, from an old historic family, lost everything from the brutalities of World War II and the succeeding years of Communist rule and this piece is her testimony to what happened.

The painting, an anguished telling of this history, has a bleak white feather superimposed on the canvas surface as a symbol of a quill pen, chillingly documenting the brutality. It coolly floats over an angry red gestural brushstroke that seemingly forces its way into a somber field of decimated building shells. These three panels, Maryanska's reporting of atrocities from a psychological distance, is a piece, the artist said, that she brought with her wherever she exhibited, as her way of never forgetting what was endured in her country, the work forcing visceral responses in viewers.

Sculptor Kathryn Hart was originally a watercolorist and transferred her ability to layer on washes to her sculpting technique where she repeatedly builds up strata of materials so that the pieces' surfaces become blistered, wrinkled, and torn, what the sculptor likens to the visible exteriors of "human beings living life." Growing up as the daughter of a surgeon, she is well acquainted with medical life-saving acts that she transferred to her sculptures after watching her father work, interpreting his skills in her own pieces. Arduously building her sculptures by hand, constructing and pulling the elements apart repeatedly, her past immersion in the seriousness of medicine throughout her life and her own experience as a survivor of grave illness, gave her up-close observations of life and death, her sculpture providing her a continuous vehicle to work out her feelings about personal misfortune.

Here, Hart combines disparate found materials as she does in almost all her sculptures, physically deforming them into jarring new entities. Her mixed media assemblage, "Coda," took six months to complete as the sculptor saw it as a resolution over a period of time of her serious personal circumstances, with a newly found positive feeling arising upon completion.

In "Coda," Hart rests a solid steel beam on a built up rectangular base dividing it into two equal parts, a strong foundation and connector of all opposing energies swirling throughout the piece, while a jumble of barbed wires is suspended over it. When light shines on the wires, curvilinear shadows form on the walls at the sculpture's back, dynamically moving the viewer's eye in myriad directions. Wisely anchoring this motion with the solid metal base under the tangled mass, tiny glass bottles are also attached throughout the suspension, causing light refractions when rays hit, evoking a mesmerizing luminosity. She chose the title, "Coda" as a way of saying the long time of emotional darkness was now supplanted by an emerging optimism, tacked on like a musical afterthought, as a counterweight to the sculptor's past struggles helping her to rise from tragic ashes, and so, continue living.

Both painter and sculptor in their need to rise over personal pain, saw this opportunity to exhibit as a statement that life is worth living and the changes a person has to experience throughout are the necessities for survival. In contrast to the somberness of her triptych, Maryanska, in her mixed media collage, "The World Apart," joyously exalts her life, expressing great good fortune at her ability to live in both city and country while Hart joins the celebration in her "Cellular Series" –new assemblages named for the smallest organic entity that in spite of experiencing huge obstacles, miraculously grows into fully realized perfection.



Kathryn Hart, "Cellular No 2"

In "The World Apart," Maryanska combines her impressions of urban New York City and the bucolic Hudson Valley where she maintains residences, integrating the robust energies of skyscrapers soaring to heaven on a vertical axis, with two lushly painted ultramarine horizontal fields at the canvas' top and bottom, shimmering representations of a sapphire river and an intense azure sky at opposite ends, framing the piece.

She balances vertical collaged thrusts with perpendicular paint strokes, the juxtaposition giving the entire piece stability. Supporting this sense of equilibrium, the artist adds black and white jagged pieces of painted canvas, intimations of tall, silhouetted sailboats, bobbing over flowing waters while subtly affixing a blue- green orb near the buildings' apexes, the only rounded object in the piece.

Perhaps this is the painter's way of representing both earth and sun, connecting the organic qualities of the river and sky as if to say a man-made city can only exist if it respects its primordial, natural foundations. Maryanska told me she has to have both city and country in her life to maintain psychic balance. Through the act of creating this piece, the artist is able to join both.

Sculptor Hart pushes the viewer's visual boundaries in a new group of 12 mixed media pieces entitled "Cellular Series," incorporating wire, bone, marble dust and resin in all. The works are built-up, chalk white squares of dense paint layers that the sculptor, almost through an alchemical process, textures and deformes, using heat, chemicals and pressure, to create new entities. In front of the geometrics, she dangles wires and tubes, chaotically jumbled, but at the same time, maintaining a delicacy in their suspension, seeming to float the totally entangled metal threads as one object in the surrounding air. As in "Coda," when light shines on the piece, the spaghetti-like tangles create bold shadows contrasting with the grounds of equilateral shapes, making visual lines resembling abstract gesture drawings, changing the images according to the light's direction. The resulting shadows, sometimes agitated, at other times serene, are the sculptor's impressions of the microcosmic level of the universe, cells, teeming with all type of organic life but always miraculously organizing themselves into cohesive forms. Metaphorically, this series is one of evolution personally symbolic to the sculptor of the triumph of hope, an impetus for survival, no matter the extent of the situation's gravity.

The incorporation of the use of white plays an important part for me in both Maryanska's "Memories" and all of Hart's sculptures in that I can concur with the artists, through their choice of this ghostly color, that the possibility of death is always present throughout life and we must combat it's finality by fully living.

Although Basha Maryanska and Kathryn Hart work in different mediums, they reveal powerful, shared threads, weaving works of deep emotion, bearing witness to their own profound life experiences, the results a working through painful memories as artistic statements of victory. Their needs to create impelled them to realize works as anchors for lives battered by the roiling seas of their pasts. This exhibit was their magnificent opportunity to tell us about what they have suffered and most importantly surmounted.

—Anne Rudder

"Metamorphosis" recently seen at The Howland Cultural Center, Beacon, N. Y.

Recenzja z wystawy w Howland Cultural Center w Beacon, którą napisała Anne Rudder dla Gallery& Studio Art Magazine.

Współpraca z Kathryn Hart

Basha Maryanska zarówno jako artystka wielu technik, jak i kurator wystaw, widzi przestrzeń dla sztuki powstającą poprzez zestawianie prac tworzonych w różnych tworzywach, przez różnych artystów. Dopełniające się wizje dają głębszy efekt i mocniej oddziałują na widza. Tak było w przypadku Kathryn Hart, rzeźbiarki z Colorado, której prace uzupełniają spojrzenie na świat przez Bashę Maryanską. Dlatego obydwie artystki od lat wystawiają swoje prace razem.

> Nasze prace bardzo dobrze kontrastują ze sobą i dopełniają się, będąc jednocześnie stworzone w zupełnie różnych mediach. Ale energia w naszych pracach jest ta sama i to właśnie je łączy.
>
> Rzeźby Kathryn Hart w monochromatycznych barwach, z pełnią niuansów, w szarościach i reliefach, z różnych materiałów, zestawione z moim malarstwem i bogactwem moich kolorów i kompozycji wydobywają całą swoją symbolikę, piękno, harmonię i dramat. Ta wystawa bardzo dużo mówi o nas, jako artystkach.
>
> (Basha Maryanska).

Film o Kathryn Hart:

www.kathryndhart.com

Wystawa w Howland Cultural Center w Beacon, NY.

Współpraca z Kathryn Hart zaowocowała między innymi

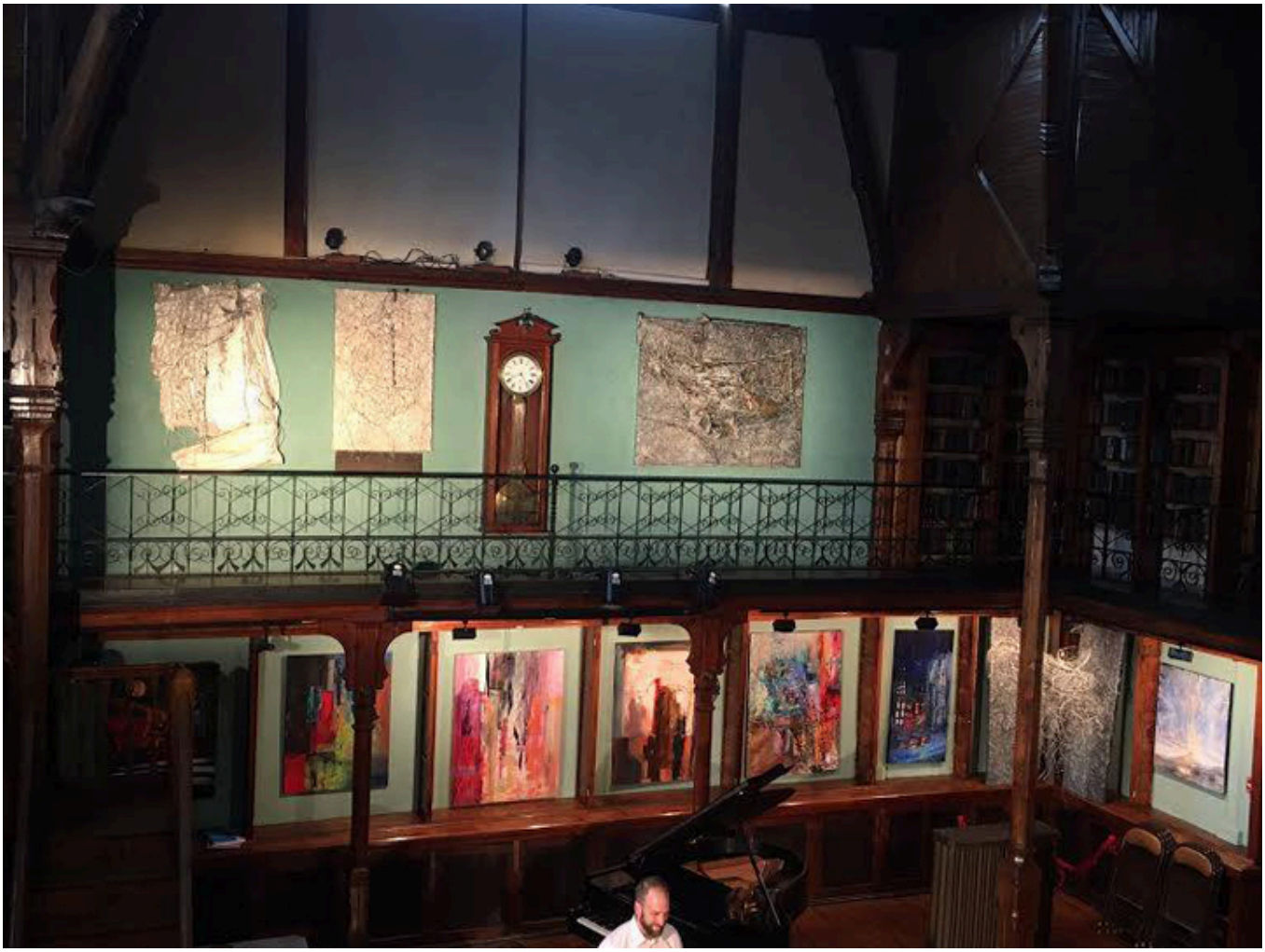
wystawą, która miała miejsce w czerwcu 2017 r. w **Howland Cultural Center w Beacon** w stanie Nowy Jork, w pięknym, historycznym obiekcie, w którym odbywają się koncerty, wystawy i przedstawienia teatralne. Basha Maryanska pokazała ponad trzydzieści swoich najnowszych dużych obrazów. Wystawa połączona była z koncertem jazzowym. Odwiedziło ją bardzo dużo ludzi. Wystawa była wielkim sukcesem.



Wystawa w Howland Cultural Center w Beacon, NY.



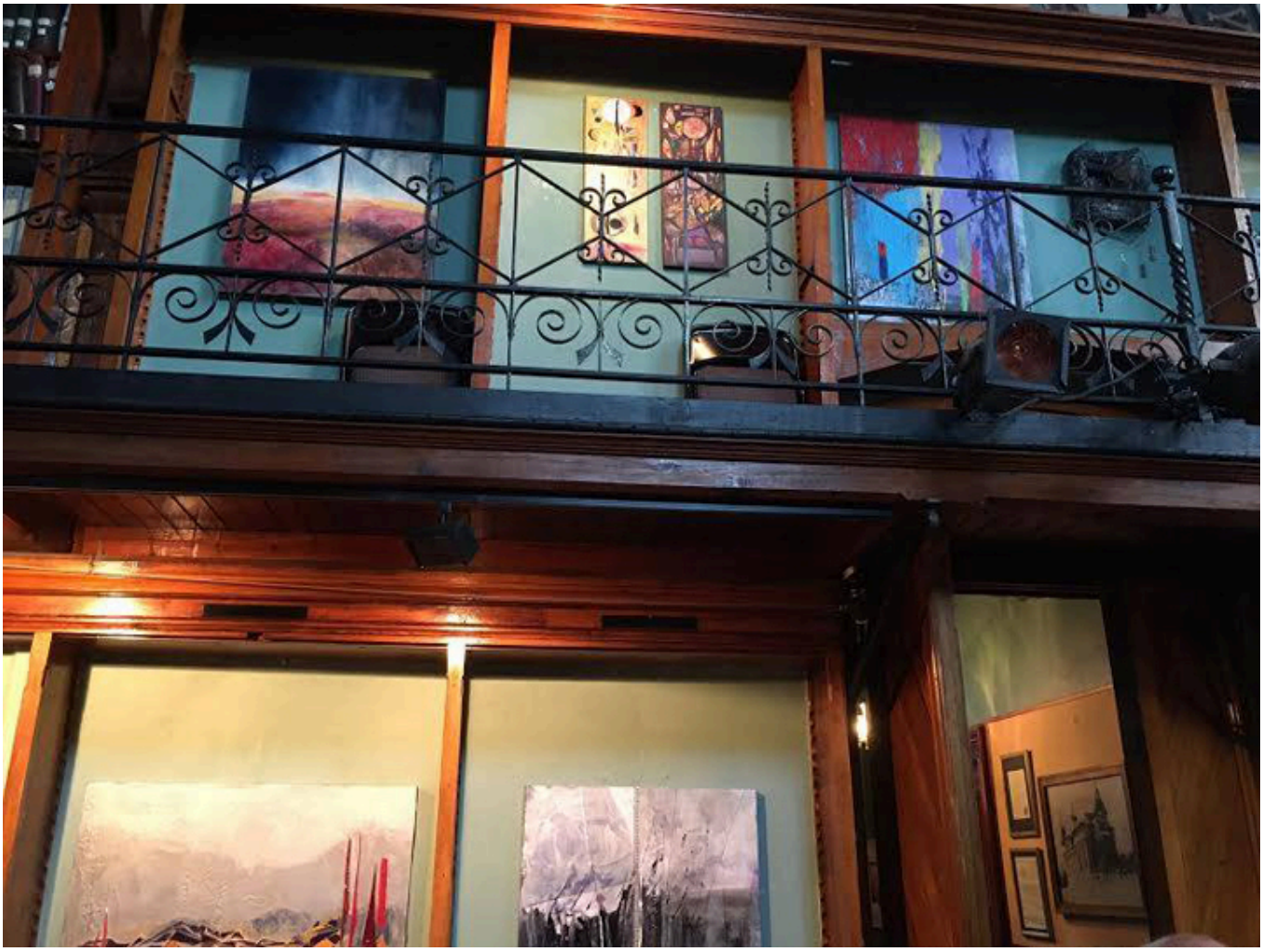
Wystawa w Howland Cultural Center w Beacon, NY.



Wystawa w Howland Cultural Center w Beacon, NY.



Wystawa w Howland Cultural Center w Beacon, NY.



Wystawa w Howland Cultural Center w Beacon, NY.

oprac. Joanna Sokołowska-Gwizdka

Wystawa „Metamorphosis” z Howland Cultural Center w Beacon, NY, zostanie we wrześniu pokazana w Warszawie, w Galerii SD, Al. Szucha 8. Bedzie ją można zobaczyć w dniach 19-30 września 2017 r. Oficjalne otwarcie wystawy 21 września o godzinie 18.00. Oprócz prac Bashi Maryanskiej i Kathryn Hart, zaprezentowane zotaną też prace Kamili Wojciechowicz. Na temat wystawy w Warszawie więcej informacji ukaże się w środę 13 września 2017 r.

Tobrukowi z pomocą

Wspomnienie Józefa Poniatowskiego, redaktora naczelnego „Orła Białego”, pisma 2 Korpusu gen. Wł. Andersa, opracowane przez jego zięcia Floriana Śmieję.

Florian Śmieja



Bitwa o Tobruk w 1941 r.

Polska

Brygada Karpacka w sile ok. pięciu tysięcy żołnierzy w dniach **18 do 25 sierpnia 1941 roku** popłynęła do **Tobruku**, by zluzować jego obrońców, głównie Australijczyków, w siedmiu konwojach spod aleksandryjskiej miejscowości El Amiriya w Egipcie.

W bazie pozostało kilkuset ludzi w tzw Legii Oficerskiej. Nie pojechali, gdyż brakowało im wyszkolenia bojowego, przeszkadzał wiek i stan zdrowia. Część z nich miała popłynąć kolejnym konwojem z Aleksandrii, więc dokładała wysiłku, by się zakwalifikować do wyjazdu, o którym, ponoć, tak było głośno, że całe miasto o tym wiedziało.

Wśród szykujących się do transportu znajdował się porucznik Józef Poniatowski, późniejszy redaktor andersowskiego tygodnika „Orła Białego" w Iranie i Włoszech. Jego niepublikowane zapiski mam pod ręką i zaglądam do nich, aby artykułowi przydać autentycznego kolorytu lokalnego.

Po wypłynięciu 25 października wieczorem z portu dodatkowy konwój nabrał szybkości na wysokości Sidi Barrani. Wojaż

najpierw uraczył żeglujących egzotycznym widowiskiem latających ryb, które Polakom wydawały się być ptakami.

Ale wnet potem skończyła się idylla, a zaczęły się nocne naloty niemieckich samolotów nurkujących. Nalotów tych było sporo i ta liczba zaczynała martwić, choć autor wspomnień próbuje je racjonalizować chłodną dedukcją przyrównując je do zapamiętanych z Polski ataków wrześniowych:

> Właściwie każdy poszczególny nalot nie był cięższym przeżyciem, niż bombardowanie w pociągu pod Czeremchą 6 września 1939 roku. Raczej przeciwnie, tam działo się to w dzień, bez artylerii, a więc prawie przy bezkarności napastników, bomby spadały bardzo blisko i niebezpieczeństwo było niewątpliwie większe. Nawet okoliczność, że tu się było na wodzie, o kilkadziesiąt km od lądu i obok szansy trafienia odłamkiem czy podmuchu miało się szanse utopienia, albo wylecenia w powietrze w razie trafienia w nasze torpedy czy miny głębinowe lub inną amunicję, której dostatek mieliśmy naokoło, nie równoważyła tamtych warunków. Jedna wszakże była poważna różnica: tamto trwało wszystkiego razem (trzy naloty po trzy samoloty) 15 minut, a to trzymało nerwy w napięciu ponad trzy godziny, nie licząc okresu przygotowawczego w godzinach popołudniowych.

Jeden z okrętów konwoju, stawiacz min „Letonia”, został trafiony przez bombę i stanął w płomieniach, eksplodowała następnie wieziona przezeń amunicja. Niszczyciel „Hero”, na którym była największa grupa Polaków i nasz świadek, podpłynął do niego i zabrał załogę, a jego dowódca nakazał wahającemu się kapitanowi feralnej jednostki opuszczenie jej i przejście na jego pokład.

Na domiar złego, mimo że byli już w pobliżu zbawiennego portu w Tobruku, ich okręt także ucierpiał jak miało się okazać, bo wstrząs, który odczuli w pewnym momencie to nie było żadne zderzenie z palącym się statkiem ale:

> wybuchem ciężkiej bomby, która nie trafiła okrętu lecz padła o kilka lub kilkanaście metrów. Wybuch trochę uszkodził środek okrętu, wytworzył szpary, którymi nalało się nieco wody, a które uszkodziło urządzenie elektryczne i wentylacje motorów. Dlatego właśnie światło zgasło i dlatego szybkość spadła z 30 do 13 węzłów. Zdaje się, że i urządzenie sterowe doznały szwanku. W tym stanie rzeczy Admiralicja słusznie zakazała kapitanowi wjazdu do Tobruku, od którego już byliśmy o jakie 40 km, a niektórzy widzieli błyski tamtejszej artylerii i bombardowanie portu. O ile bowiem nawet udałoby się nas wysadzić, statek prawdopodobnie musiałby zginąć w drodze powrotnej, bo

> świt zastałby go jeszcze na wodach libijskich.

Nastąpił więc ostrożny odwrót, by wykorzystać ciemności i znaleźć się w zasięgu samolotów sprzymierzonych. Pojawiły się też inne kontrtorpedowce, które eskortowaly poszkodowanych szczęśliwie do portu.

> Była niedziela, więc zbudowano na pokładzie ołtarz i nacz. kapelan ks. kan. Pietruszka odprawił Mszę św. przy czym nasz chór śpiewał, a jak się rozśpiewał to i po nabożeństwie śpiewał i świeckie pieśni ku podziwowi i zadowoleniu Anglików. Na ogół zapanowała wielka przyjaźń między nami, a załogą „Hero”i paru oficerami z „Latony”, którzy wyszli na pokład.

Innej już wyprawy do Tobruku nie podjęto, a wnet potem jego oblężenie zniesiono. Zdążył jeszcze walczących obrońców odwiedzić niespodziewanie gen. Władysław Sikorski, który później pojawił się także w Aleksandrii i na uroczystości jego powitania i defilady przybył również kapitan niszczyciela „Hero”.

O samym Sikorskim autor wspomnień pisze:

> ...z wiekiem stracił tę sprężystą postawę, która mogła pociągać przed kilkunastu laty, ani zaś rozkaz ani tym mniej przemówienie nie odbiegały niczym od przeciętności i raczej słabo były przystosowane do tego specyficznego audytorium. Takie już jest jednak nastawienie żołnierza, że wzrusza się samym faktem widzenia i słuchania Naczelnego Wodza i to jest oczywiście dobrze dla dyscypliny. To też nie umiejąc poddać się temu dodatniemu nastrojowi, byłem daleki od jego rozpraszania, przeciwnie, uważam, że jakkolwiek by się oceniało osobiście człowieka, jeśli nie ma się wpływu na zastąpienie go przez innego, należy dążyć by Naczelny Wódz miał jak największy autorytet.

Autor pamiętnika ogromnie żałował nieudanej wyprawy do Tobruku. Nie wiedział, że nim wojna się skończy, zawędruje jeszcze do Bagdadu, a także, że będzie oglądał wraz z Melchiorem Wańkowiczem dopiero co zdobyty przez polskich ułanów klasztor na Monte Cassino.

Nie mógł także przewidzieć, że wraz z Jerzym Giedroyciem zafasuje od rozgniewanego generała Andersa parę tygodni aresztu domowego za wydrukowanie Janowi Bielatowiczowi arykułu przyrównującemu obronę Tobruku do bitwy o Monte

Cassino.